

je. Niby zezuje, ale to nie jest to. Trzeba widzieć. A przytem robi od czasu do czasu taką straszną minę, że sam dyabełby się przeląkł. Niema co, ja go zawsze poznam! No i wtedy tak sobie rozmawiając, zeszlismy na teren trochę niebezpieczny... a on wtedy zdrajca, bez ostrzeżenia, bez słowa, jak mnie nie lunie... Święci Pańscy, tego mi trzeba było! Ale mnie zwał, że mi się prababka przyśniła! Już nieraz mnie „obracali“, ale czegoś podobnego nie pamiętam! A on mruczał sobie:

— Poczekaj ty świńska nogo, już ja ci się przysłużę — i dalej do mnie.

Ja wtedy wałę mu prosto do ślepiów i krzyczę:

— Toś ty taki, kajdaniarzu? To ty tak gadasz z porządnym towarzyszem? — i wałę na oślep, gdzie się trafi.

Ah, niech go choroba! Twarde miał szelma pięści. To było coś strasznego! Myślałem, że już po mnie i już zacząłem się modlić do patrona poturbowanych nędzarzy. Razy jak grad spadały na mój łeb! Żle było. Wtedy to rozwścieklony wyjąłem nożyk i poczęstowałem bratka. A, żeby pan komisarz widział, jak on wyglądał! Futerko na nim zdarło, kołnierz od zakietu oderwany!... Ha! Ha!...

— No i cóż się dalej stało?

— Wtedy dwa jakieś pędraki wyszły z domu. Ja dałem nogę co tchu i wpadłem do „przyjaciółki“, którą mam w tej dzielnicy i która mnie trochę przyprowadziła do porządku.

Całe to opowiadanie było przerywane co chwila. Szczeka skrwawiona i rozdarta nie pozwalała mu mówić. Ale w końcu przy pomocy gestów, zdołał sprawę jako tako wytłómaczyć szefowi.

„Podwójna Nitka“, obdarzony dwoma pięcioletnimi kłódkami i otrzymanymi oprócz tego od pana Cardec wyłożone pieniądze „na wydatki“, został odprowadzony do szpitala na leczenie. Szef zaś bezpieczeństwa zabrał się natychmiast do dzieła. Teraz robota pójdzie gładko. W tej chwili dano znać po stacyach kolejowych, po portach, po granicach.

Było nieprawdopodobne, by Gruby Ludwik, zeszepecony i naznaczony w tak okropny sposób, ośmielił się pokazywać publicznie. Ale ostrożność nie zawadzi!

Nazajutrz odnaleziono dzieci, które były świadkami bójki. Opowiedziały, że widziały, jak jeden z bijących się pobiegł na róg ulicy i wskoczył do przejeżdżającej dorożki. Dorożkarz zapytany zeznał, że człowiek, skacząc do jego powozu, powiedział, że został napadnięty i prosił, żeby go prędko zawiózł pod kościół św. Magdaleny.

Przybył jeszcze do tych szczegółów raport agenta, pełniącego służbę w dzielnicy św. Magdaleny.

Zauważył on w ten wieczór człowieka zakrwawionego, w podartym ubraniu, w kapeluszu pogniecionym, wyskakującego z dorożki nie przed kamienią, ale pod bramą kościoła, co wydało mu się trochę podejrzanem. Nieznajomy, rozejrzawszy się wokoło i nie dostrzegłszy agenta, przebiegł szybko bulwary i skręcił, ciągle przez agenta śledzony, do pewnego domu na ulicy Capucines. Numer domu był agentowi wiadomy. Nieznajomy człowiek już więcej z tego domu nie wyszedł. Do tego raportu dołączone było sprawozdanie komisarza z tej dzielnicy. Zaraz rano uczyniono dyskretną ankietę, która wykazała, że człowiek ranny był inżynierem hiszpańskim, mieszkającym już w tym domu od trzech miesięcy przeszło, że zeznał, iż był ofiarą przypadku, a właściwie sam sprowokował napaść i nie myśli sprawy tej więcej poruszać.

Pomimo, iż rzecz miała cechy wszelkiego prawdopodobieństwa, pan Cardec kazał śledzić owego cudzoziemca. Ah, więc nareszcie miano go w rękach!... Nareszcie ta zagadka rozwiązana zostanie!...

Jaminotowi polecono sprawę. Nie posiadał się z radości. Jednakże na jego radość padał pewien cień. Więc on sobie tyle trudu zadał na próżno, po to, by teraz jego przełożony, bez jego pomocy znał prawdę?

Mając w kieszeni rozkaz aresztowania Gantrina, Jaminot puścił się w drogę, ale tym razem w towarzystwie. Ten ptaszek był zaledwie niebezpieczny!

Komisarz z dzielnicy św. Magdaleny, były sekretarz pana Cardec, był na pogotowiu w swoim biurze. Gdy już dochodził do kamienicy, w której mieszkał ów niby inżynier hiszpański, Jaminot poszedł naprzód wybadać teren. Powrócił po chwili, klnąc jak dragon. Ptaszka już nie było wgniazdka!

Lecz Jaminot uspokoił się wkrótce, gdy agent, postawiony przy drzwiach domu przez komisarza, a przebrany za posłańca publicznego, dopełnił udzielonej mu na wstępie wiadomości.

Filut z dwoma wielkimi kuframi wsiadł był przed chwilą do dorożki, podając adres dworca północnego. Ja zaś — mówił agent — uczepiłem się tyłu powozu. W parę minut mniemany inżynier wychylił się i zawołał do dorożkarza:

— Pomyliłem się. Do „Orleanes“.

Wiadomość ta była dostateczna. Wszyscy po-

— Carramba! Awantura! To zabawne na honor! Ależ przez was spóźnię pociąg!

Był to wiecień bardzo przyjemny. Ale w gabinecie komisarza głównego dostał napadu wściekłości, który trwał mgnienie oka. W jednej chwili został ubezwładniony i związany. Teraz wyglądał, jak wielka puszka, silnie sznurami ściągnięta, wydająca przekleństwa i ryki.

Jeden agent miał nogę złamaną, drugi zebra nadwreżone, a Jaminotowi również się dostało, lecz powtarzał on z humorem: „to nie“, kiedy go mamy.

Nie zwracając uwagi, że krew zalewa mu twarz, Jaminot zerwał nagle czapkę więźniowi, który bezsilny wodził do koła strasznym wzrokiem i kłął przeraźliwie.

Wtedy oczom Jaminota ukazała się świeża, nie zaschnięta jeszcze blizna pod okiem.

— Aha! mój gołąbku — zawołał agent — więc to ty? Cóż ty na to mówisz, bratku?

## ROZDZIAŁ XIII.

### Rozwiązanie zagadki.

Pan Noileau miał już do czynienia z oskarżonymi wszelkiego rodzaju, różnego temperamentu i zachowania, którzy mu nieraz dobrze krwi napsuli, i nie już go nie mogło wyprowadzić z zwykłego spokoju. Ale zdumiał się w najwyższym stopniu, gdy nazajutrz po dokonaniu owego aresztowania stanął przed nim zmęczony Gantrin. Upředzono sędziego, że będzie miał do czynienia z dziką bestią, tymczasem miał przed sobą człowieka ubranego z wyszukany smakiem, o ruchach zręcznych i eleganckich, o głosie łagodnym, wyrażającego się wytwornie i bez przesady. Gdyby nie świeża blizna na czole, sędziaby przypuścił, że popełniono nową pomyłkę.

Człowiek ten czynił wrażenie tak silnego moralnie, jak i fizycznie, iż pan Noileau zauważył w duchu, że sprawa nie popłynie bardzo łatwo. Badanie będzie tem trudniejsze, że dotąd nie miano jasnego dowodu jakiegokolwiek winy uwięzionego.

Zarzucono mu prawdopodobny stosunek z Janiną Bernay, wstępnie poprzednie zajęcie i czyny, zmianę tylokrotną nazwiska i twarzy, bójkę zażartą z agentami.

Wszystko to dawało go w podejrzenie, ale właściwie oskarżać go nie było można, że należał jako spółnik do zbrodni na ul. Clichy.

Zaraz na wstępie p. Noileau, patrząc mu prosto w oczy, zapytał go o nazwiska, przezwiska, wiek, miejsce urodzenia, narodowość, zawód. Odpowiedział niewzruszony i bardzo spokojny:

— Proszę mi wybaczyć, panie sędzio, ale czuję się w prawie zapytać, o co jestem oskarżony; inaczej bowiem nie będę odpowiadał na za-

dne pytania.

Pan Noileau uznał za stosowne nie obwijać rzeczy w bawelnę, widząc, że to do niczego nie doprowadzi i wytłómaczyć jasno oskarżonemu, o co chodzi.

— Jesteś pan oskarżony o podwójne morderstwo, dokonane w styczniu w willi na ulicy Clichy...

Pan Noileau ulegał pierwszemu wrażeniu, atakując nieprzyjaciela otwarcie i niespodzianie, zapomniawszy o tem, że nie ma żadnych podstaw do podobnego postępowania i że będzie bezsilnym wobec pierwszego zaprzeczenia uwięzionego. Lecz czyniąc tak, p. Noileau uznawał, że postępuje lojalnie. Nie chciał dochodzić do prawdy zapomocą podstępów lub sztuczek, tak często w jego zawodzie praktykowanych, brzydził się nimi i dlatego to otwarcie szedł prosto do celu.

Miał przed sobą człowieka — obwinionego o morderstwo, dlaczego miał to przed nim ukrywać?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Lewa ręka zwisała bezwładnie na temblaku, a na całej twarzy i głowie widniały ślęce i podrapania.

spiesznie udali się na dworzec. Na szczęście komisarze na dworcach byli już uwiadomieni. Nie sposób, aby się ptaszek wymknął niepostrzeżenie.

Gdy Jaminot przybył na miejsce, człowiek poszukiwany odchodził od kasy, trzymając w jednej ręce bilet I. kl., drugą zaś pakował do kieszeni garść drobnych pieniędzy, kierując się ku ekspedycji bagaży. Dwóch panów, elegancko ubranych, rozmawiało swobodnie, idąc tuż za nim.

Zobaczwszy agenta, odeszli trochę na bok, nie przerywając rozmowy. Wygląd podróżnego był zupełnie zgodny z podanym opisem; wytwornie ubrany, wygolony, z twarzą pokiereszowaną. Daszek podróżnej czapeczki zakrywał czoło i zachodził aż po binokle, które miał na oczach.

W chwili, gdy dawał do wagi swoje kutry, uczuł nagle na rękach kajdanki i głos gruby, ostry szepnął mu do ucha:

— Tylko bez awantur, bez oporu! Jest nas więcej!

Czy z powodu tego, że zajście to zaskoczyło go nagle, czy też rzeczywiście posiadał sporą dozę zimnej krwi, dość że nie stawiał żadnego oporu. Uśmiechnął się szeroko, pokazując rząd ładnych, białych zębów i głosem z głębi gardła wychodzącym, zawołał: